

SÁNDOR  
MÁRAI



CSUTORA  
PSIA POWIEŚĆ

CZY  
TEL  
NIK



SÁNDOR  
MÁRAI



CSUTORA  
PSIA POWIEŚĆ

Przekład, przypisy i posłowie  
Irena Makarewicz

Czytelnik

Tytuł oryginału węgierskiego  
*Csutora*

© Heirs of Sándor Márai  
Csilla Gaal (Toronto)

Okładkę i kartę tytułową projektowała  
Maria Drabecka

Redaktor prowadzący  
Anna Rucińska

Redaktor  
Agnieszka Czerepowicka

Korektor  
Małgorzata Poździk

Redaktor techniczny  
Bożena Ławnicka

© Copyright for the Polish translation  
by Irena Makarewicz, 2026

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,  
Warszawa 2026

ISBN 978-83-07-03656-4

*Dla Pani / S. M.*



## *Cave canem!*<sup>1</sup>

Ostrożnie, czytelniku! Teraz nastąpi psia historia.

Należałoby się dowiedzieć, jakiego rodzaju słabością jest ta, która czasem dopada pisarzy, nawet tych najbardziej wymagających, w trakcie ich kariery, żeby swoją uwagę oraz intencję przenieśli z odwiecznego i wybitnego modelu – człowieka – na niższych rangą statystów dzieła stworzenia. W tonie takich publikacji jest coś lekko protekcyjnego. Twórca literacki łaskawie i życzliwie spogląda w dół ku niższym sferom życia, być może z powodu zdumienia bądź rozczarowania tragiczną grą, której obraz rozpościera się na wysokości oczu istot dwunożnych – w każdym razie życzliwie i z wybaczącym grymasem spogląda w głębinę, gdzie, na jednym z niższych stopni hierarchii stworzeń, spoziera ku niemu z uwagą niewinny, odległy i pierwotny krewniak, zwierzę. Aha, pies!... – myśli z pobłażliwą przychylnością. Po czym gwizdże i rusza z psem na spacer.

Podczas przechadzki, gdy niskiej rangi przyjaciel biega sobie to naprzód, to w przeciwną stronę, i z nastroszoną sierścią, z postawionymi w szpic uszami, kręcąc ogonem, nieodzownie z niewypowiedzianym zapalem

---

<sup>1</sup> Strzeż się psa! (łac., przyp. red. węg.).

i podnieceniem lustruje świat, pisze listy w dole pni drzew przynależących do swojskiego otoczenia i przegląda tu i tam na rogu ulicy codzienną pocztę, to pisarz podejrzliwie zauważa, że i w jego życiu nadszedł ów krytyczny moment pokusy, aby napisać powieść o psie. Pisarz, który w rzeczywistości mieszczańskiej jest dziennikarzem, a tamten podniosły tytuł nadaje sobie jedynie w butnych chwilach swego życia, tego rodzaju pokusę odbiera z nieprzyjemnym uczuciem i stara się ją odeprzeć. Aha, psia powieść!... – myśli ponownie. A potem: Wygląda na to, że jest problem, skoro ty chcesz napisać powieść o psie. Tak idą, pogrążeni w myślach, pies i pisarz, w kierunku Vérmező<sup>2</sup>. Na skraju ośmiostopniowych schodów – tam, gdzie następuje zbawienny moment: pisarz spuszcza ze smyczy psa, który jednym obłąkanym rzutem, na podobieństwo wystrzelonej rakiety, leci w dół niczym samobójca w głębinę i tracąc rozsądek, poddaje się oszołomieniu i czystej rozkoszy – pisarz przystaje, spogląda za niskim rangą przyjacielem, którego do tego aż stopnia porwała pasja, zapala papierosa i kręci głową. Teraz już wie, że nadszedł moment, nie do uniknięcia, gdy musi napisać powieść o psie. Nie podoba mu się to. Niedobrze, jestem tchórzliwy w stosunku do ludzi, myśli. To ta chwila, wręcz historycznie ta chwila, natchodzi go dodatkowa refleksja, kiedy jakiś pomniejszy pisarz nie może napisać już zresztą niczego innego, jak tylko powieść o psie. Ma wrażenie, że to kryzys. Myśli o tym, że dotychczas starał się być uczciwy i dochowywać

---

<sup>2</sup> Obecnie park publiczny w Dzielnicy Krisztiny (Krisztinaváros), położony przy zachodnim stoku Wzgórza Zamkowego w Budzie, nieopodal ulicy Mikó, gdzie mieszkał Márai. W czasach Máraiego na Vérmező prowadzono ćwiczenia wojskowe, a także pozwalano arystokracji odbywać przejażdżki konne.

wierności ludziom. A teraz po raz pierwszy nie ma ochoty być uczciwym i dochowywać wierności ludziom.

Psia powieść, dlaczego nie?... – dochodzi do wniosku teraz już z złejszym sercem, jak ktoś, kto zna powód pewnej świeżej manii; poświstuje laską i wciąga głęboko do płuc gorzkie, wilgotne powietrze, które pod postacią mgły zalega nad wielkim polem. Przypominają mu się klasyczne powieści o psie i wysokie wzorce, a ta okoliczność nieco chłodzi pierwotny entuzjazm. Pisanie o psie to chyba zaniedbywanie obowiązków, myśli jeszcze. Tyle pilnych, niecierpiących zwłoki rzeczy byłoby do powiedzenia w związku z człowiekiem... Ale potem szuka usprawiedliwienia i wytłumaczenia, co zawsze jest najłatwiejsze, i to, co w tym przedsięwzięciu przynosi wstyd, przedstawia w taki sposób, że w trakcie kariery pisarskiej psia powieść to niedziela, kiedy twórca odpoczywa, wkłada bambosze i oddaje się lekkiej rozrywce, przykładowo słucha radia bądź pisze powieść o psie. Pisarz nie tylko w swym życiu, lecz i w ramach swej profesji nie może stale chodzić w tozde i wykonywać tragicznych gestów. Nader łatwo i tanio jest twierdzić coś takiego i szukać pretekstu... Jednakże teraz, skoro znalazł się w tym punkcie, a też powoli kończy mu się papieros, pies zaś, gdzieś w oddali, zdaje się tak naprawdę jedynie fizycznym wyobrażeniem, obrazem ruchu wykonywanego dla samego ruchu, pisarza ogarnia nagle niepokój. Psiej powieści nie pisze się bez powodu i tylko z racji na taki tani pretekst, myśli uparcie. Po świecie chodzą pośepni prorocy, którzy pisarza napominają do innego obecnie obowiązku niż do powieści o psie. O tym myśli, ale natychmiast też się zawstydzą, bo swoją drogą wcale nie uważa słów proroków za obowiązkowy nakaz; i nagle wykazuje solidarność z psem przeciwko prorokom,

z psem, którego dopiero co, z politycznego tchórzostwa, już się nieledwie zaparł. Odczuwa solidarność z psem... A ponieważ udało mu się to tak sformułować, robi głęboki wydech w zawilgotniałe powietrze, z ulgą, a mimo wszystko w stanie rozdrażnienia, bo ciężko mu na sercu, rusza w kierunku psa i czuje to dziwne podenerwowanie, jak przed egzaminem, to pomieszane z bólem brzucha pobudzenie, które niekiedy zauważa każdy pisarz, jeśli się zdecyduje, żeby iść na zderzenie z życiem, i chce, i ma odwagę dowiedzieć się o nim czegoś bezpośrednio oraz w sposób wolny od polityki. Ewentualnie poprzez psa... To pobudzenie pomieszane z bólem brzucha, które pisarz odczuwa przed pracą, to jest natchnienie. Ale o tym chyba w ogóle nie wypada mówić.

Teraz już wie, że u spodu tego postanowienia tkwi coś hańbiącego, ale wie i o tym, że nie może się przed nim uchylić, a nadto ma świadomość, że fascynuje go nie tylko sam pomysł – jego zamiar podgrzewany jest przez podniecenie i ciekawość; to ta ciekawość, która pojawia się u niego zawsze wtedy, gdy widzi możliwość, aby zajrzeć w pogmatwany chaos tamtego drugiego obszaru życia – w zamęt ciemniejącej za dniem nocy. Nie, pozostać jedynie przy przekazaniu informacji na temat idylli psa i człowieka to rzeczywiście mało ekscytujące zadanie... Ale być może, jeśli bardzo skupi uwagę na zwierzęciu, dowie się czegoś również o człowieku. A prorocy wytłumaczą później, co w tym jest drobnomieszczańskiego, jeśli w pewnym historycznym momencie, kiedy człowieka spotyka psi los, ktoś ma nadzieję, że poprzez psa dowie się czegoś o chwilowej sytuacji człowieka w świecie.

Pisarz podnosi rękę i macha na psa, zdecydowanym gestem, jak ktoś, kto podjął decyzję. Ten osobliwy przymus i ta szczególna siła, które w krótkich chwilach

wolności przemieniły czworonożne zwierzę domowe w fizyczną masę poruszającą się ruchem przyśpieszonym, na skutek owego ruchu ręką zaczynają ustawać, prędkość poruszania się wirującej materii spada i owa masa, poddając się niemożliwemu do odparcia przyciąganiu, z trudem i w kontrze oporem, ale jednak ulega temu tajemniczemu, magicznemu rozkazowi. Pies, ubłocony i zdyszany, ruchem takim, jakby każdy pokonany metr wymagał przezwyciężenia dotkliwego oporu, zbliża się i zatrzymuje, sapiąc z rozemocjonowania, o dwa kroki od pisarza. Przybliża się na chwiejnych nogach, odurzony wcześniejszym biegiem. Pisarz wkłada mu na szyję obrożę i wzrusza ramionami. Tak, będzie z tego psia powieść.

Przez kilka dni obserwują siebie nawzajem. Ich relację cechuje teraz już złe nastawienie, pisarz stara się skończyć z modelem jakiegokolwiek osobistej więzi, a pies jest podejrzliwy i bez humoru. Tak muszę go opisać, myśli pisarz, bez współczucia i emocji, jak wszystko, co widziałem w świecie, jak sędziego, kobietę, księdza czy żołnierza. A tymczasem z zaskoczeniem zauważa, że przez lata zgromadził już dostateczny materiał kliniczny o psach w ogólności. Tak więc nic a nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pewnego dnia podniósł słuchawkę telefoniczną i zaproponował psią powieść wydawcy, który uprzejmie przytaknie do telefonu. Prorocy będą mieli radość, myśli pisarz, odkładając słuchawkę na miejsce, przygotowuje papier i pióro i podczas gdy pies kładzie się u jego nóg, on zapisuje tytuł: *Cave canem!* Z rzetelności dodaje jeszcze: „Ostrożnie, czytelniku! Teraz nastąpi psia historia”.

## **Pada śnieg**

Ale skoro już się zabrał do pracy, to w ogóle nie rozmyśla dalej, i jest zdecydowany, żeby całe to przedsięwzięcie przetrwać, jak to zresztą wypada, zgodnie z wszelkimi regułami tej profesji, z epicką wygodą, ba, nadać mu postać powieści i użyć podtytułów. Tak więc pada śnieg, jest Boże Narodzenie dziesięć lat po wielkiej wojnie, a w domu nie ma pieniędzy.

Pani i pan, którzy mieszkają tu w domu, po obiedzie, opuszczają jadalnię i przechodzą do sąsiedniego pokoju, gdzie biurko, przy którym pracuje pan, zajęła już chuda, zmierzwiona choinka, mająca za zadanie swymi niewyszukanymi ozdobami i ledwie wyczuwalnym zapachem lasu rozprzestrzeniać w mieszkaniu świąteczny nastrój. Wymiary drzewka są tak skromne, a ozdoby, które nagromadziły się przez lata, tak podniszczone, że temu swojemu zadaniu może ono sprostać jedynie z udręką. Pan staje przed nim i przygląda mu się z ubolewaniem. W pokoju robi się ciemno, bo od rana pogoda złagodniała i pada śnieg. W półmroku cnotliwie lśnią dekoracje rachitycznego drzewka, a na dodatek całość stoi nieco też krzywo, pochyla się do przodu, jak każde takie drzewko bożonarodzeniowe, które niezdarnie i w złej wierze ustawiają – dla samych siebie – bezdzielne pary

mażeńskie. Mieszkanie swoją drogą zostało ubezpieczone od ognia.

Ale tę ostatnią ewentualność, jako szansę niemoralną, pan natychmiast zresztą przegania z myśli. Obchodzi choinkę, wzruszając ramionami. Wystrojona na galowo, wzbudza w nim śmiech – przywołuje wspomnienie ciotki Gizelli, która miała połyskującą suknię, prawdopodobnie uplecioną z anielskiego włosa i naszpikowaną cekinami, i w tej sukni nieodzownie pojawiała się na dużych rodzinnych uroczystościach, anemiczna, podobnie rachityczna, ale ufryzowana, błyszcząca i obwieszona niczym drzewko bożonarodzeniowe. Wypisz wymaluj ciotka Gizella, myśli pan, robiąc kwaśną minę. Z niemiłym uczuciem spogląda na ozdobione drzewko, a zarazem wie, że to lekceważenie należy się nie tyle choince i naiwnym świątecznym akcesoriom, ile raczej jego własnemu brakowi odwagi, który nie pozwala, by się poddał świątecznemu nastrojowi. Czegoś brakuje tej choince, myśli jeszcze. Ale nie ma odwagi przyznać tego na głos. Podobnie jak, już od lat, nie ośmiela się głośno zaproponować, żeby w ten łaskawy wieczór zamiast błyskotek i rozjarzonych świeczek, obfitej kolacji i skromnych prezentów poszli raczej do jednej z nielicznych kawiarni, które z profanacyjną celowością są otwarte również w to rodzinne święto. Nie ośmiela się tego zaproponować ani nie waży się podnieść sprzeciwu wobec drzewka i błyskotek, gdyż panią, ba, nawet i służącą, która właśnie wniosła czarną kawę, całkowicie przenika ekscytacja, radość wzbudzona przez to święto; teraz też omawiają ostatnie szczegóły wieczornego programu, uroczysty obiad, tradycyjne dodatki z orzechami i makiem oraz sos do ryby. To jest całkiem takie, jakby szło na poważnie, myśli pan ze szczerym zadziwieniem. Podchodzi do okna, patrzy, jak

pada śnieg, i słucha prowadzonej szeptem narady pani i służącej. To też jest częścią wspomnień, że przed Bożym Narodzeniem wszystko szykowane jest jako niespodzianka, jeden drugiemu przedstawia sprawy jakoś bardziej sekretnie, nawet i to, ile jajek dziewczyna ma podać do majonezu – bo trwa oczekiwanie, aby powróciły cud i tajemnica, które przeminęły. Jakby na poważnie było Boże Narodzenie, myśli pan z dogłębnym zdumieniem, jakby to tutaj było poważne mieszkanie, poważna rodzina, poważne Boże Narodzenie, ze świąteczną tajemnicą, z pachnącą choinką podekscytowaniem i misterium... Coś takiego zawsze go zadziwia.

Patrzy na śnieg, ale nie słyszy nic z dawnego podzwania i pobrzękiwania. Nie ma tu już żadnego rodzaju tajemnicy. Całe to święto jest raczej krepujące, jak gdyby ktoś w cywilizowanym towarzystwie nietaktownie wypowiedział rozczulone słowa. Mówić o tym oczywiście nie wolno. Mieszkanie już od wielu dni napęlnia się drobnymi sekretami, szuflady w sekreterze zamknięto na klucz, a poprzedniego dnia w południe jakiś człowiek mówiący przez nos przyniósł większy pakunek, wzbudzając dyskretne zamieszanie w domu, ponieważ, mówiąc przez nos i pomimo uciszania przez dziewczynę, wielokrotnie podkreślał w przedpokoju, że odbiór wyłącznie po uregulowaniu rachunku. Pani, która już we wczesnych godzinach porannych opuściła mieszkanie i od tamtego momentu nic, tylko biegła po mieście, a powróciła stamtąd do jadalni poirytowana i zmęczona, nie jest skłonna przystać na wyjaśnienie historyczne, mianowicie że gdy przestarzały ład produkcyjny jest zastępowany przez jakiś nowy i odmienny, wówczas tym, którzy uczestniczą w tego rodzaju historycznym procesie, brakuje warunków, aby wykazywać się usposobieniem pasującym do

tego przenikniętego łaską święta. Pan odnosi wrażenie, że on nie ma z czego robić święta, i myśli przy tym nie tylko o własnej kieszeni, która jest pusta. Co innego też jest puste. Ale gdzie jest ten kat, co odważy się powiedzieć to pani, która chce święta – z drzewkiem i z anielskim włosom, i z zapachem płonącego wosku i świeżej choinki, naładowanego drobnymi ofiarami i sekretami, kompletnego i stuprocentowego święta! Kto się odważy powiedzieć jej, że za tym świętem nie stoi tajemnica, jeśli ona sama, pani, też nie ma odwagi, aby to sobie wyznaczyć? Pan nie czuje, by miał na to siłę.

– Pada śnieg – mówi raczej. I dodaje, podobnie jak słyszał to już tysiąc razy, mechanicznie: – Będziemy mieli białe Boże Narodzenie.

Wypijają kawę i ponownie, po raz dziesiąty, obiecują na słowo honoru, że w tym roku nie będzie prezentów. W ubiegłym roku też tak zrobili, a także przed dwoma laty i również przed ośmioma, dziewięcioma, nie ma więc żadnego powodu, żeby nie uczynić tego samego w tym roku. Dają sobie zatem nawzajem słowo honoru, którego jednak nie złamać byłoby nikczemnością. Pan wie, że pani, która w minionych tygodniach, pierwszy raz po dziewięciu latach, z zaskakującym zainteresowaniem informowała się na temat zmian w zasobach krawatów pana, przedpołudnia spędza w Śródmieściu, niekiedy telefonuje także po południu, przyciszonym głosem, i dopytuje się o krój koszul szytych dla jakiejś zupełnie obcej osoby. Pani wie, że pan nie ma pieniędzy, a zatem narobi długów, bo nie mógł tak bez powodu zapytać, pierwszy raz od dziewięciu lat, jakich to perfum używa pani ostatnimi czasy. Jak co roku, tak i teraz uzgadniają, że „to byłoby komiczne, gdyby człowiek naraził się na zbędne koszty”. Pan, który wcale nie tak dawno, w łatwiejszych

i mniej odpowiedzialnych czasach, chętnie podkreślał, że warto się narażać jedynie na zbędne koszty, w ostatnich miesiącach jest mniej skłonny do aforyzmów, milczy z aprobatą. Przyniesienie „nikomu niczego”, które teraz naprawdę łatwo byłoby podeprzeć ważkimi argumentami, i tak już złamali, bo w ostatniej chwili wydaje się jednak niemożliwością, żeby ten zacny i purytański József, który altruistycznie i z powodzeniem przeprowadził proces przeciwko pewnemu niechlujnemu tygodnikowi, nie otrzymał tamtej skórzanej cygarniczki ze srebrnym monogramem, która nie tyle jest honorarium, ile raczej tylko skromną oznaką uważności. A pewien elegancki pan i czytelnik z prowincji, prawdziwy *literary gentleman* z ginącego gatunku, przysłał dzisiaj przed południem w paczce pocztowej sześć butelek starego tokaju: szczęście, że lekarz domowy, ten intymny przyjaciel, który wprowadzie z większym zapałem i z większą ciekawością leczy duchowe przeziębienia rodziny niż te cielesne, pija tylko słodkie wino, i dlatego wspomniana przesyłka, przyozdobiona kilkoma gałązkami choiny, od razu może powędrować do niego. Pozostaje kilka *cousines* – im prawdopodobnie sprawi przyjemność, jeśli każda otrzyma flakonik francuskich perfum, które, chwała przewidującej troskliwości pani, domownicy przywieźli jeszcze ze swojego ostatniego wyjazdu do Paryża; i Teréz, służąca. Ale Teréz dostanie pieniądze, bo ona jest materialistką.

– A zatem nikomu niczego – mówi pani i zapala tego jedyne go papierosa, którego zwykła palić w ciągu dnia. – Słowo honoru. Żeby nie musiała stać tu wieczorem i się wstydzić.

Pan daje na to rękę.

– A wymów jakieś pragnienie – ciągnie pani, bez żadnego przejścia. To zawsze idzie w taki sposób.

Pan zastanawia się i ze zdumieniem zauważa, że jest całkowicie wyzuty z pragnień. Nie pożąda srebrnej zapalniczki, jedwabnego krawata, ba, nawet auta ani riwiery, nie pragnie szesnastu tomów *Kunstgeschichte*, których jeszcze kilka miesięcy temu tak namiętnie pożądał – szybko zresztą porzuca to wyliczanie metodą wykluczania, bo ono nie prowadzi do celu. Prawda jest taka, że nie ma pragnień. To też wyznaje. Wyznaje bez satysfakcji i buty, nie życzy sobie, by kogokolwiek karać, ale taka jest prawda, że on kompletnie nie ma pragnień. I jest tym zresztą zdumiony.

– To zły znak – mówi bez nacisku, niemniej na głos.

Jeszcze wcale nie tak dawno potrafił pragnąć z gniewem i zgrzytaniem zębami, i wcale nie detali zresztą, lecz raczej całego świata. Jedyne pragnienie, które zauważa w tym momencie, to to, że chciałby mieć już za sobą również to Boże Narodzenie, jak pozostałe, bez szczególniejszego nieszczęśliwego wypadku – to teraz jedyne jego pragnienie, ale jest ono silne i zachłanne.

Gdy tak myśli, odzywa się dzwonek, sygnał alarmowy nowego nieszczęśliwego wypadku, bo jakiś uważny pan przysłał pani kwiaty, które szybko wypada odwzajemnić kolejnym przejawem uważności, i to w ciągu paru minut, tak żeby ów gest nie wyglądał na rewanz, lecz zachowywał pozór równoległego zainteresowania. Dlatego, a i dlatego, że swoją drogą robi się już ciemno, za godzinę, dwie zamkną sklepy, pan pośpiesznie gasi papierosa i wyrusza w trudną drogę. Z progu rzuca wstecz prośbę:

– Wypowiedz jakieś pragnienie.

– Och – odpowiada pani i ruchem, który pozwala przypuszczać, że ona też jest pozbawiona pragnień, macha ręką w powietrzu. Rozgania dłonią dym i z tą łagodną pogardą w głosie, którą tak naprawdę tylko kobieta może

odczuwać w stosunku do rzeczy świata, odnotowuje:  
– Jeśli to za wszelką cenę konieczne... Jakaś sznorrkę.

„Sznorrka” pochodzi z rodzinnego języka dla wtajemniczonych i jest nie tak bardzo eleganckim, lecz jednym z powszechnie używanych zdrobnień rzeczownika pochodzącego od czasownika *schnorren*. Oznacza błahy prezent, którego mógłby się wstydzić ten, kto go daje, i byłby nieledwie obraźliwy dla osoby obdarowanej. Tego sobie życzy na Boże Narodzenie, dziesięć lat po wielkiej wojnie, pani od pana. Ale, nauczony doświadczeniami właśnie tych dziesięciu lat, pan patrzy przed siebie skonsternowany, bo zna symboliczną głębię słownictwa pani, i jedynie jakiś analityk potrafiłby tak z nagłą stwierdzić, czy pod określeniem „sznorrrka” rozumiała rodzinną wille z tarasem na dachu, większą kwotę gotówki w obcej walucie, łańcuszek na szyję, francuski model sukni czy nowy samochód z dwoma siedzeniami. Wie, że bezcelowe byłoby to drażyć, tak więc w milczeniu rusza w swoją drogę. Z progu jeszcze słyszy, jak pani, która teraz podeszła do okna i patrzy na padający śnieg, mówi z uroczystym rozczuleniem, cicho:

– Pada śnieg. To dobrze dla biednych ludzi.

## Sznorrka

„To znakomicie dla biednych ludzi” – pan zabiera ze sobą w ucho tę frazę i powoli idzie w śniegu do miasta. Biedni ludzie będą mieli co zgarniać w wigilijny wieczór, to dla nich znakomite. Pieszko przechodzi przez most. Miasto jest o tej godzinie podniosłe uroczyste. Pan mija oświetlone witryny, czując przestrach i znajome osłupienie, jak zawsze przed zakupami i zawarciem transakcji. Kupować to dla niego jednoznacznie ze zgodą na coś: trzeba przystać na cały system, przede wszystkim na handel pośredni, a także na tę nieprzyjemną walkę toczoną osobiście, jaka następuje w sposób nie do uniknięcia, gdy otwiera drzwi i wchodzi do sklepu, a w następnej chwili, podczas gdy cicho rozmawia z handlowcem, który uprzejmie poleca, a on uprzejmie wybiera, ukazują mu się wizja, że oto dwie bestie chwytają się wzajem strasznymi łapami za gardło i w tej wybetonowanej dżungli, w tej oświetlonej elektrycznie puszczy, na śmierć i życie kłócą się i żrą o ochłapy. Wie, że w tej walce bezwzględnie musi przegrać, bo handlowiec wkłada w to zmaganie całą swą istotę i egzystencję, a on – tylko swoje pieniądze, których stale jest tak mało, że nie warto nawet bronić ich na poważnie. Oskarżając samego siebie, myśli o tym, że znów, jak co roku, świąteczne zakupy odłożył

na ostatni dzień, ba, na ostatnią chwilę: zawsze w tym samym czasie, z tym samym pośpiechem i z psującą dobry humor nerwowością przechodzi męki kupowania prezentu i przy każdej takiej okazji postanawia, że następnym razem już wiele miesięcy wcześniej, z zachowaniem staranności i uważności, przeznaczy na to wybieranie jedno popołudnie – a teraz znów w ostatniej chwili stoi tu przed wystawami, odczuwając skrępowanie i lekki wstręt, bo jest tchórzem i nie ma chęci do tego przedsięwzięcia. Dawać to największa sprawa, ale dawać mało i z poczuciem bezradności jest czymś poniżającym i świadczącym o złym nastawieniu. Wie, że ta setka, którą przed południem był w stanie zdobyć już tylko z wysiłkiem, stopnieje mu w rękach bez śladu, ledwie przekroczy próg któregoś sklepu, i nawet w najlepszym wypadku pozostanie po niej na pamiątkę jakiś całkiem mały i nieużyteczny pakunek, którego zawartość trzeba będzie pośpiesznie wymienić po świętach. Są ludzie, w których rękach pieniądze mają moc magnesu, którzy potrafią nawet molekułami najmniejszej kwoty przyciągać do siebie znaczące przedmioty oraz okazałe ekwiwalenty; ze stu pengó umieją oni wyczarować obfite święta dla czteroosobowej rodziny, pod choinką wyciągają z niewidzialnego cylindra upominki, pożyteczne, wesołe i zbędne, wydają biesiadę dla przyjaciół i w końcu z tej setki jeszcze też zaoszczędzą dwadzieścia sześć pengó, które zanoszą do kasy oszczędnościowej. Pan nie należy do tych szczęśliwych ludzi. Czuje, że za kilka chwil ta setka odfrunie, a zamiast niej pozostanie jakaś torebka, którą trzeba będzie potem wymienić na zegarek na rękę, albo jakiś flakon perfum, który trzeba będzie potem wymienić na kobiecy kapelusz. Wszystko to jest nudne, monotonne i krępujące.

## Spis treści

<i>Cave canem</i> .....	7
Pada śnieg .....	12
Sznorrka .....	19
Wchodzi bohater .....	26
Święto .....	34
Życie w świecie .....	51
Płeć i charakter .....	62
Przestrzeń i czas .....	69
Młodość .....	79
Wielki świat .....	116
Analiza .....	138
Jak u Ohneta .....	161
Epilog i nauczka .....	179
„Kocham cię, lecz ciębie złamię” ( <i>Irena Makarewicz</i> ) ...	183

*Csutora. Psia powieść* (czyt. czutora) to pozornie prosta i zabawna opowieść o relacji pana i psa. W istocie jednak książka Sándora Máraiego – ironiczna i niepokojąca – ukazuje konflikt między instynktem a porządkiem, naturą a mieszczańską formą życia. Napisana na początku lat trzydziestych XX wieku książka nie jest sentymentalną opowieścią o zwierzęciu, lecz przenikliwą obserwacją codziennych rytuałów, reguł i ograniczeń, jakie człowiek narzuca sobie i innym, by móc funkcjonować w społeczeństwie. Z właściwą sobie precyzją Márai pokazuje, że ani bezwarunkowa wolność, ani skostniały ład nie oferują prawdziwego rozwiązania, a bunt, choć nieuchronnie kończy się porażką – pozostaje jednym z podstawowych doświadczeń ludzkiej egzystencji.

*Cywilizacja to mimo wszystko wielka sprawa, podobnie rewolucja francuska i prawa człowieka...  
On też kiedyś się tego nauczy, praw człowieka...*

ISBN 978-83-07-03656-4



9 788307 036564

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

RÓWNIEŻ JAKO  
**E-BOOK**